

Zofia Posmysz

PASAŻERKA

oraz

LIBRETTO OPERY

„PASAŻERKA”

Aleksandr Miedwiediew

według powieści

Zofii Posmysz

Nie wiedzieć czemu ta kobieta przykuła spojrzenie Lizy. Stała obok wejścia na basen i prawdopodobnie przyglądała się pływającemu, bo głowę miała odwróconą. Liza widziała zaledwie część tej twarzy, niemniej jednak patrzyła uparcie, z natężeniem. Było coś w tej sylwetce niepokojącego, co trzymało jej wzrok na uwięzi i nie pozwalało się oderwać. Zaskoczona, zgorszona sama sobą, szamotała się z dziwnym urzeczeniem, usiłując dociec jego przyczyny. Było to jednakże przedsięwzięcie dosyć beznadziejne. Żadne z wyjaśnień, które jej się nasuwały, nie trafiało w sedno rzeczy. Przyczyna nie leżała w ogóle w sferze elegancji i jej zewnętrznych akcesoriów. Jakkolwiek ubrana nienagannie, nieznajoma nie wyróżniała się przecież niczym specjalnym, co zresztą na tym luksusowym statku, pełnym pięknych i wytwornych kobiet, było prawie niemożliwe. Więc musiało to być coś innego i w oczach Lizy, kiedy tak patrzyła, malowało się coraz większe zaniepokojenie. Bo gdyby Walter, który spoczywał obok na leżaku, nie miał zamkniętych oczu, niechybnie padłoby pytanie: „O co chodzi, mała?” Czytał bowiem w jej oczach – cokolwiek by sądzić o użyciu tej wytartej przenośni – najdosłowniej odczytywał wrażenia, które się w nich aktualnie odbijały. Bardzo go to w niej radowało i bawiło, kto wie nawet, czy nie dzięki temu zwrócił na nią uwagę, a w konsekwencji ożenił się. Było to tak, jak gdyby wzbogaciła go o dodatkowy zmysł, nazywał go żartobliwie „słuchem wewnętrznym”, chociaż o określenie tej umiejętności, która przecież nie na słuchu, lecz na wzroku się opierała, można by się spierać. Nie zawsze tylko potrafił odgadnąć przyczynę tego, co właśnie zobaczył w jej oczach, a wówczas pytał niezwłocznie z ciekawością, która postronnym mogła się wydawać śmieszna: „O co chodzi, mała?” Nieodmiennie od wielu lat, zupełnie tak jak wówczas, kiedy zjawiała się u niego w antykwariacie – to były pierwsze lata po wojnie i Walter wtedy zajmował się handlem antykami – zabiedzona i taka

„niedorośla”, w pantoflach pozbawionych obcasów, że potraktował ją jak dziewczynkę tym właśnie pytaniem. Ale Walter z wystawioną na działanie słońca twarzą, z zamkniętymi oczyma dysponował tylko jednym darem słuchu, tym właściwym wszystkim ludziom. I wobec tego, że Liza od dłuższej chwili już nie włączała się do dytyrambu na cześć życia, który składał z jej pomocą od chwili, gdy wstąpili na pokład, uznał za słuszne zaatakowanie jej wprost.

– Dobrze nam tutaj, co, Lischen? Pierwszorzędne pudło, ten nasz „Hamburg”. Drogie, bo drogie, ale w końcu... nie musimy się z tym liczyć. Nareszcie złapałem szansę, Lischen. Rozumiesz, co to znaczy? Odtąd będziemy żyć na szerokiej stopie, zapewniam cię. Należy nam się to wreszcie, nie? Jak sądzisz, mała?

Nie usłyszał odpowiedzi, która, zgodnie z rytuałem długoletnich rozmów, powinna była paść. Otworzył więc oczy, żeby uruchomić „wewnętrzny słuch”, i na jego twarzy odbiło się zaciekawienie:

– Radzę ci odwrócić głowę, Lischen. Opalisz twarz z jednej strony – a ponieważ i to pozostawiła bez odpowiedzi, spytał już zdziwiony: – O co chodzi, mała? Dlaczego wciąż patrzysz w tamtą stronę?

Odwróciła głowę ku niemu:

– Nie, nic... – powiedziała. Ale jej spojrzenie raz jeszcze pobiegło w stronę nieznajomej i Walter zapytał:

– To znajoma?

– Nie... co znowu? – jego pytanie jakby ją zaskoczyło, a nawet zastanowiło. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Patrzysz w taki sposób, jakbyś ją знаła.

– Wydała mi się – znowu popatrzyła w tamtą stronę – jakaś dziwna.

– Dziwna? – chwilę lustrował tamtą uważnie, po czym wrzucił ramionami: – Nie znajduję w niej nic osobliwego.

Uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo, jak zwykle w takich okazjach – był to uśmiech anulujący jej chwilowe wtajemniczenie, bo wszak oboje już wiedzieli, „o co chodzi” – i wygodnie ułożyła się na leżaku. Walter miał rację, dobrze było tutaj. Pierwszy dzień podróży przeszedł jej oczekiwania. Pogoda była nadzwyczajna, ogromny motorowiec sunął gładko, jak gdyby ślizgając się po powierzchni wody, nie odczuwało się prawie żadnego kołysania. Wszystko, co żyło, wyległo na słoneczny

pokład, zwany plażą, z basenu dobiegały śmiechy i pokrzykiwania. Wśród leżakujących przesuwali się zrećcznie stewardzi roznoszący lody i napoje. Było niewiarygodnie spokojnie.

– Niemcy zostali za nami, Walterze – powiedziała.

– Pojutrze zostanie Europa. I to na parę lat, jeśli się nic nie zmieni. Nie będziesz tęsknić?

– Nie sędę.

– I ja nie. Starucha staje się znów męcżąca.

– Bałam się, że nic z tego nie wyjdzie.

– Nie bez racji. „Stary” ruguje zewsząd ludzi Streita. Zawdzięczam poniekąd panu Globke, że wskoczyłem na tę placówkę.

– Żartujesz chyba...

– Bynajmniej. Za duży już szumek zrobił się na świecie. Trzeba tu i ówdzie pozakładać tłumiki. W tym celu bierze się faceta jak ja i wysła tam, gdzie najgłośniejszy. W charakterze knebla. Można mi nawet dorobić antyfaszystowską przeszłość.

Żachnęła się.

– Gdyby to było potrzebne, pojechałby Streit.

– Z góry odpada – odparł ze śmiechem. – A wiesz dlaczego? Bo on ją rzeczywiście ma, tę przeszłość. Gdyby nie to...

Podszedł do nich steward i zaanonsował obiad.

– Jest to pierwszy dzień podróży, a więc byłoby pożądane, żeby państwo przyszli nieco wcześniej. Chodzi mianowicie o możliwość wybrania stolika w miejscu, jakie będzie państwu najbardziej odpowiadało. Ma to chyba znaczenie w podróży, która bądź co bądź trwa dosyć długo.

Pozwolił sobie specjalnie przyjść do nich, ponieważ inni pasażerowie...

W rzeczywistości pokład był prawie pusty. Pasażerowie woleli widać zacienione kabiny z wentylatorami niż kłującą blaskiem w oczy taflę oceanu. Tylko jeszcze w jednym leżaku, osłoniętym parasolem, drzemał sobie starszy, siwy pan. U jego nóg niby posąg spoczywał piękny wyżeł.

– Ma rację ten elokwentny steward – mówił Walter zmierzając ku wejściu. – Przez dwadzieścia dni to pudło będzie naszym kontynentem. Zechcesz chyba wkrótce potem, jak przyjedziemy, odwiedzić siostrę?

– O, to nie takie pilne. Pojadę do niej, kiedy się zainstalujemy na dobre – odrzekła, okrążając stojący na drodze leżak.

- Ale czy wie o naszym przyjeździe?
- Nie.
- Jak to? Nie zawiadomiłaś jej nawet?
- Mówiłam ci – odpowiedziała nie od razu. – Do ostatniej chwili w to nie wierzyłam. Jestem przesadna. Bałam się przedwczesnym mówieniem...
- Spłoszyć szczęście? – zaśmiał się. – Dziecinna jesteś. Ale to nie szkodzi. Jest w tym pewien rodzaj wdzięku...

W tej chwili stało się coś dziwnego. Jak do tego doszło, nikt, ani Liza, ani Walter, ani starszy pan, właściciel wyżła, nie umieli powiedzieć. W wejściu na pokład stanęła owa nieznajoma pasażerka, która przedtem tak zaciekawała Lizę. Być może, iż zwyczajem ludzi lubiących psy uczyniła jakiś nieznaczny gest: gwizdnęła cichutko lub cmoknęła. Nikt tego nie dostrzegł. Widziano tylko, jak pies skoczył. Nie, nie było to nic groźnego, jakkolwiek mogło tak wyglądać, kiedy wsparł się łapami na jej ramionach. Przywołany, natychmiast przywarował u nóg pana, który wyrażał ubolewanie z trochę przesadną, choć nie pozbawianą staroświeckiego wdzięku galanterią.

– Głuptasku – śmiał się Walter, patrząc na pobladłą nagle Lizę. – Przecież on jest zupełnie nieszkodliwy. To był gest sympatii.

Lecz Liza zdawała się nie słyszeć. Patrzyła na nieznajomą pasażerkę, która spokojnie otrzepywała bluzkę, patrzyła tak, jakby od tego zależało jej życie. Nawet kiedy tamta odeszła, jej twarz, na której malowały się na przemian zdumienie i niedowierzanie, nie zmieniła wyrazu. Walter zaniepokoił się:

– Lischen, co tobie?

Nie odpowiadała. Patrzyła przed siebie nieruchomo, w jej oczach malowała się groza.

* * *

...Pies w skoku. Psy, dziesiątki i setki psów. Takich samych jak ten i innych. „Hundesstafeln”. Maszerują w szeregach jak żołnierze, to znowu jak strażnicy trzód zaganiają stada dwunożnych stworów zdradzających dziwne i odrażające zarazem podobieństwo do ludzi. Psy... I droga, jak z koszmarnego snu, nie przypominająca żadnych innych dróg, zamknięta pośród drutów, znaczone sągami drewna, a na niej ludzie, wytworni jak ci tutaj pasażerowie „Hamburga”. Beładnym tłumem suną wzdłuż ślepego toru,

który tu oznacza dosłownie ślepy tor, dosłownie kres, coraz bliżej ku czerwonemu budynkowi z graniastym kominem. Sypialne wagony, choć już puste, cuchną jeszcze. I psy... Takie jak ten i inne. Karetka z czerwonym krzyżem, kursująca tam i z powrotem po tej dziwnej drodze, sterty bezładnie zwalonych ubrań, wózki dziecięce, ogromna liczba wózków, fotografie, po których się depcze nie wyczuwając ich pod grubą warstwą rozmięklej ziemi, i znowu tłum nagi i ohydny przed czerwonym budynkiem, a poza nim druty rozpięte na białych słupach, zakrzywionych jak szpony nad dachami, które nie są dachami domów. Przed nimi kłęzące stwory w sukniach w biało-niebieskie pasy i orkiestra. Młodziutka śpiewaczka zachłystuje się zadziorną piosenką: „Ich brauche keine Millionen, mir fehlt kein Pfennig zum Glück”... I ręce, szybko, szybko podstawiane, jedno ramię za drugim, na którym kropka po kropce wyskakują cyfry...

Walter ścisnął mocno przegub jej dłoni:

– Co ci jest, Lischen, na miłość boską!

– Nic, Walterze... już nic.

– Już nic? Nastraszyłaś mnie. Wyglądałaś jakby...

– Nienawidzę psów! Po prostu nie znoszę psów! – wybuchnęła histerycznie, opadając na najbliższy leżak.

– Nie znosisz psów? – Walter był szczerze zdziwiony. – Nic o tym nie wiedziałem. Nigdy mi nic nie mówiłaś!

* * *

Obiad dobiegał końca. To był świetny obiad i Walter, który cenił dobry stół, wpadł w humor wręcz znakomity. Delektował się każdą potrawą, omawiając je we właściwy sobie, parodystycznie rubaszny sposób. Nie od razu też zauważył, że Liza prawie nie odpowiada i je niewiele, a zauważywszy, okazał trochę niezadowolone zdumienie. Czyżby nie odpowiadała jej kuchnia? Była to wszak autentyczna niemiecka kuchnia w najlepszym wydaniu, w swej szczytowej formie, i doprawdy on, który się przecież na tym zna, nie znajdował, co by tu skrytykować. Na szczęście wyjaśniło się, że to tylko ból głowy pozbawił Lizę apetytu i humoru. Z tego też jedynie powodu nie zgodziła się na zaproszenie do ich stołu nowego znajomego Waltera, co miał jej po trosze za złe. Był to bowiem równy chłopak, tak go scharakteryzował, i bardzo się do nich garnał. Teraz jednakże rozumiał, że nie był to kaprys,

jakieś kobiece fochy, których, ona to wie, bardzo nie lubił i które na szczęście były obce jej charakterowi. Jasne, że samopoczucie jest rzeczą istotną, nie należy tego lekceważyć, nawet jeżeli w grę wchodzi tylko nieobowiązujące stosunki towarzyskie. Dobrze się zatem stało, że „Johnny” – Walter pozwolił sobie na to dobroduszenie kpiarskie przezwisko, które przylgnęło do Amerykanów w latach powojennych – pozna jego żonę wtedy, gdy będzie ona w swej zwykłej, tak przez wszystkich podziwianej formie. Po obiedzie Liza zażyje tabletkę antymigrenową, położy się na godzinkę, gdy tymczasem on zagra z „Johnnym” w tenisa. A potem, skoro będzie się już dobrze czuła, pójdą z nim razem na „five”. Czy Liza ten program akceptuje?

Oczywiście, akceptowała go i była wdzięczna mężowi, że zrozumiał jej obiekcje. Bo kiedy kobieta wie, że wygląda nie najlepiej... Kiedy czuje się zmęczona i stara, tak jak ona w tej chwili...

Obowiązkiem dobrego męża było zaprotestować lub przynajmniej rozeźmiać się i Walter postąpił tak, nie zwlekając. Uczynił to zresztą szczerze i najbardziej wyczulone ucho nie wykryłoby w jego proteście podejrzanego akcentu zdawkowości. Dla niego nie tylko nie była stara, zresztą „stara” w odniesieniu do niej nie miało w ogóle sensu, dla niego nie zmieniła się od chwili, kiedy weszła wówczas do jego antykwariatu i kiedy on spytał: „O co chodzi, mała?” Zresztą gdyby już koniecznie trzeba było to roztrząsać, to nie tylko w jego oczach się nie zmieniła. Jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, czy jego sąd może być obiektywny, powinien rozwiązać incydent, który miał miejsce dziś w porcie, ma mianowicie na myśli zachowanie się doktora Streita. Liza musi przyznać, że sama była tym zdumiona. Wszak doktor Streit widział ją zaledwie kilka razy, i to kiedy? Około dziesięciu lat temu. Mimo to poznał ją od razu, uklonił się jej przecież, zanim spostrzegł jego, Waltera. Poznał, chociaż Liza zupełnie go sobie nie przypominała. Więc niech przestanie o tym myśleć i niech nie patrzy na niego tak, jakby mówił herezje lub chciał kłamać. To rozpoznanie po tylu latach mówi samo za siebie. Co tu dużo gadać! Dobra rasa to dobra rasa – zakończył, mrugając do niej porozumiewawczo.

Jednakże Liza nie była uradowana tym wywodem tak, jak tego oczekiwał. Zauważyła tylko, nie bez pewnego przymusu, że słowo „rasa” brzmi w jego ustach cokolwiek dziwnie i że raczej nie powinien go używać w celach parodystycznych, jak to miało miejsce w tej chwili.

Uwaga ta niespodziewanie, albowiem nie lubił uwag, ucieszyła go. No tak, jego żona zna go dobrze, bardzo dobrze, wie, że to słowo do niego nie pasuje, stąd jej reakcja, może trochę zbyt serio, ale to nie szkodzi, w tych sprawach nie można być przeczulonym, choć poniektóry wesołek mógłby ją uznać za sensatkę. Szkoda, że tej wymiany zdań nie słyszy mister Bradley, byłoby to dla niego ciekawsze niż jeden czy drugi set. Walter skłonny jest nawet przypuszczać, że dla uczestniczenia w takiej rozmowie gotów byłby zrezygnować z tenisa. Zdobyłby coś w rodzaju przyczynka do studiów, które, nawiasem mówiąc, są prawdopodobnie wynikiem swoistego bzika czy obsesji, co Walter wywnioskował już po tej pierwszej rozmowie. Tak, raczej obsesji, albowiem doktor Streit, przedstawiając ich sobie w porcie, uważał za wskazane powiedzieć temu panu, że oto znalazł nareszcie w Niemczech człowieka, z którym „można mówić o wszystkim”. Powtórzył to dwukrotnie i jakkolwiek mogło to zakrawać na żart, Walter, znając dobrze Streita, był pewien, że żartem nie było. Zwłaszcza kiedy usłyszał również przy prezentacji, że mister Bradley był w Niemczech z armią, która ich „wyzwalała”. Naturalnie, jako człowiek rozgarnięty, zdał sobie natychmiast sprawę z tego, co to oznacza. Facet widział niejedno, stąd ta, swego rodzaju, obsesyjka. Problem duszy niemieckiej nie daje mu spokoju. Zaczął natychmiast go rozważać, i to nie byle jak, nie po politykiersku, powierzchownie, lecz w świetle niemieckiej filozofii: Hegła, Fichtego, Kanta, Schopenhauera... Trzeba przyznać, że przestudiował ją dokładnie, punkt po punkcie. No nie, Liza nie ma podstaw do ironizowania. Do Nietzschego po prostu nie zdążyli dojść. Przerwała im syrena i konieczność pożegnania Streita. Ale to nie znaczy, że temu filozofowi zostało przepuszczone. Z pewnością dobiorą się do niego. I to obaj. Bo Walter nie widzi powodu, dla którego nie miałby Bradleyowi pomóc w rozpatrzeniu się w tym problemie. O ile, dodał po chwili w zamyśleniu, jest to w ogóle możliwe. Co by Liza o tym sądziła?

Liza, niestety, nie sądziła nic. Od pewnej chwili przestała słyszeć, co mówił jej mąż. Zobaczyła pasażerkę, której przygoda z psem tak ją przestraszyła. Szła przejściem między stolikami w towarzystwie dyrektora sali i rozglądała się, jak gdyby kogoś szukając. Na moment jej spojrzenie zatrzymało się na twarzy Lizy, lecz natychmiast odwróciło się, obojętne. Liza stłumiła westchnienie ulgi. Walter patrzył na nią.

Siedzieli w zacisznym kąciaku, nieco z boku od baru. Rytm jazzu z małej salki przybarowej dochodziły tutaj dyskretnie przytłumione, jak gdyby przepuszczono je przez specjalny filtr. W kwadracie drzwi niby na scenie pojawiały się i znikwały tańczące pary.

– Zmieniłaś fryzurę... Jeszcze nigdy nie widziałem cię w takim uczesaniu.

– Niedobrze? – zaniepokoiła się.

– Nie... tylko że to cię jakoś bardzo odmieniło. Kiedy podeszłaś do nas, doznałem na moment złudzenia, że to jakaś obca kobieta. Nie miałem pojęcia, że uczesanie tak może zmienić. Czy to dla Bradleya?

– Miałbyś mi za złe, gdyby tak było? – spytała i wydało mu się, że dosłyszał w tym pytaniu nutkę kokieterii. Znów musiał się zdziwić. Co się Lizie stało? Od dawna już ich wzajemne stosunki cechowała ta sympatyczna, bo wolna od wszelkich gier, bezpośrednia koleżeńskość, którą mężczyźni tak sobie cenią, a na którą kobiety zgadzają się dopiero wtedy, kiedy osiągnęły poczucie całkowitej stabilizacji.

– Skądże znowu – odparł dobrodusznie, nie podchwytyjąc niepożądaną nutki. – Cieszę się, że ci się spodobał. Na zasadzie wzajemności zresztą. Niewątpliwie i my doznajemy z jego strony specjalnego traktowania. Co? Dlaczego spojrziałaś na mnie tak dziwnie?

– Używasz dziwnego języka...

Zapatrzyła się przed siebie. W otworze drzwi widać było fragment sali. W pobliżu orkiestry wokół kilku zestawionych stolików siedziało oryginalne towarzystwo, mieszanina strojów, typów i języków. Panował angielski, ale dało się słyszeć i francuski i nawet niemiecki. Już przedtem, podczas obiadu, Liza je zauważyła, tylko że przedtem nie było wśród nich...

– Miałem na myśli że przynależność do partii Streita... Lizo, ty przecież wcale nie słuchasz! I, do diabła, znowu się gapisz na tę babę!

– Walterze! Zaczynasz być przykry.

– Denerwuje mnie to, rozumiesz?

– Jesteś śmieszny.

– Wydaje ci się znajoma?

– Być może.

– I nie możesz sobie przypomnieć, skąd? Rozumiem, to nęka, dopóki sobie człowiek nie przypomni.

Nie odpowiadała.

– Ale wpatrywanie się w nią nie pomoże... Ani wysilanie pamięci. Wiesz, jak jest z przypominaniem: trzeba by się w jakiś sposób znaleźć w miejscu związanym z danym przedmiotem, myślą czy człowiekiem...

Odwróciła się ku niemu gwałtownie, całą postacią:

– Brednie! Co za brednie!

– O! Co ci się stało?

– Przepraszam... – opanowała się natychmiast.

– Zdenerwowałem cię? Czym?

– Przepraszam cię, Walterze. Nie zwracaj na mnie uwagi. Czuję się niewyraźnie.

– Niewyraźnie? Czy możesz mi wyjaśnić, co to znaczy?

– To znaczy – źle. Mam mdłości, zwykle, ordynarne mdłości, jeśli trzeba ci tak powiedzieć.

Nie od razu otrząsnął się z przykrego zaskoczenia. Patrzył na nią uważnie, nieomal chłodno i dopiero po chwili wrócił do swego ciepłego tonu.

– Martwisz mnie. To wygląda na morską chorobę. Powinnaś zacząć brać te tabletki.

– Robię to.

– I nie bój się koniaku. Zaraz mister Bradley przyniesie coś ekstra.

– Mówiłeś, jakoby miał do nas specjalny stosunek? – podjęła po chwili milczenia już znowu zupełnie spokojnie.

Rozpogodził się. Nie lubił rzeczy nie wykończonych, myśli nie dość wypracowanych, idei sformułowanych bez matematycznej ścisłości. Kiedy zdarzało się w dyskusji, że przzerwano temat, doznawał przykrego niepokoju. Jakby nie dokończona myśl zawisła w powietrzu i materializowała się w coś podejrzanego, niejasnego, grożącego chaosem, którego naturę w sobie nosiła i z której jedynie twórcza, do końca konsekwentna działalność ludzkiego umysłu mogła ją wyzwolić, przekształcając w coś klarownie pożytecznego. Był wdzięczny Lizie, że podjęła przerwany wątek.

– Widzisz, on w czterdziestym piątym trafił z armią wprost do Dachau. Rozumiesz, mógł wynieść pewien uraz. Wyniósł go zresztą z pewnością, skoro do dziś przechowuje w charakterze pamiątki torebkę damską zrobioną, wiesz z czego? Z ludzkiej skóry.